

Nie ma pomocy bezwarunkowej

autor(ka): Dawid Michnik



– Wszystkie projekty pomocowe powinny uczyć odpowiedzialności i unikać rozdawnictwa. Pomoc musi zawsze łączyć się z pewnymi warunkami, nawet symbolicznymi. W ten sposób uczymy, że nie jest za darmo i że kiedyś się skończy – o niesieniu pomocy, znaczeniu edukacji i mediach bez wyobraźni opowiada Piotr Balcerowicz, prezes Stowarzyszenia Edukacja dla Pokoju.

– Czy dzisiaj można osiągnąć pokój nie inwestując w edukację?

Piotr Balcerowicz: – Myślę, że nie. Większość konfliktów, czy to na tle etnicznym, czy religijnym ma swoją przyczynę gdzie indziej, nie w religii czy w różnicach etnicznych. Ale te różnice są wykorzystywane przez strony konfliktu. Oznacza to, że trzeba doprowadzić społeczności po obu stronach do pewnej refleksji nad naturą konfliktów i pokazać, że konflikt można zakończyć. U podłoża takiej refleksji musi leżeć edukacja. Osoba, która nie jest w stanie krytycznie spojrzeć na pewne problemy, będzie miała duże trudności w zrozumieniu konfliktu. Co więcej, edukacja jest niezbędna do poprawy sytuacji bytowej zwaśnionych stron. Twierdzą, że ubóstwo i nędza są główną przyczyną konfliktów. I chociaż są także inne przyczyny, te najłatwiej wykorzystać. Zatem inwestując w poprawę warunków bytowych, zmierzamy bezpośrednio do rozwiązania konfliktów. Żeby jednak zainwestować w przemiany gospodarcze, najpierw musimy zainwestować w edukację. Bo to właśnie edukacja daje nam możliwość refleksji, daje umiejętność szukania innych, lepszych rozwiązań.

– George Weah, kandydujący po raz kolejny w wyborach prezydenckich w Liberii, twierdzi, że zamiast edukacji wystarczy... piłka nożna.

P.B.: – Jest to propozycja populistyczna. Piłka nożna jest sportem niezwykle popularnym w wielu krajach, nie da się jednak przy jej udziale rozwiązać konfliktów. Pomaga w tymczasowej mobilizacji społeczeństwa, czy pewnych grup społecznych, które mogą zostać wykorzystane przez polityków. Jednak takiego pomysłu nie traktowałbym poważnie.

– Na stronie www.edukacjaadlapokoju.org przeciwstawiacie swoje metody niesienia pomocy metodom doraźnym, krótkotrwałym. Jak je odróżnić?

P.B.: – Na pierwszy rzut oka często nie będą się wiele różniły. Różnica polega jednak na odmiennym podejściu do problemu i do jego rozwiązania. Długofalowe rozwiązania zakładają wnikliwą analizę natury konfliktu oraz długofalowe skutki naszej ewentualnej działalności. Doraźna pomoc jest powierzchowna, leczy symptomy, nie przyczyny. Co więcej, może przyczynić się do pogłębienia problemu. Mogę podać przykłady. Pomoc zagraniczna dla Etiopii, rozpoczęta w latach 70. i trwająca do dzisiaj była spowodowana klęskami głodu. W latach 70., za rządów cesarza Haile Selassie, 300 tys. ludzi zginęło z głodu. Z kolei w latach 80. z powodu złych rządów komunistów zginęło około miliona ludzi. To spowodowało ogromny napływ środków pomocowych do Etiopii. Ta pomoc była źle zaplanowana i przeprowadzona bez analizy potencjalnych skutków. Polegała na rozdawnictwie. Obecnie rezultaty są takie, że Etiopczycy nabyli postawy roszczeniowej i bierniej. Rolnicy etiopscy uprawiają rolę przez cztery miesiące w roku, do pierwszego plonu, mimo że mogliby takich zbiorów mieć trzy w roku. Po prostu im się nie chce. Rozmawiałem z nimi i twierdzą, że uprawiają rolę przez cztery miesiące, żeby mieć zapewnione podstawowe ziarno dla siebie. Jeśli się zdarzy, że tego ziarna zabraknie, zawsze są organizacje pomocowe, które dadzą im żywność. Taka pomoc prowadzi do nieodpowiedzialności. Podałem ten przykład, ponieważ dokładnie to samo zjawisko obserwuję w ciągu kilku ostatnich lat w Afganistanie.

Drugi przykład, również negatywny. Mając cele wyraźnie polityczne, Amerykanie na pograniczu afgańsko-pakistańskim zawarli porozumienie z jednym z tamtejszych plemion, zamieszkujących miejsce nazywane Towr Kham Gate. To pozwala im kontrolować drogę dojazdową z Pakistanu do stolicy Afganistanu, Kabulu. Amerykanom zależało na pokoju, więc zawarli porozumienie z jedną z frakcji plemienia Szinwari, doinwestowując ją w bardzo krótkim czasie. Od kwietnia tego roku Amerykanie przeznaczili na ten cel około miliona dolarów, a wspieranej frakcji plemienia Szinwari udało się pozbyć talibów i zapewnić pokój. Jednak w tym czasie niewiele w okolicy Towr Kham Gate wybudowano. Za większość pieniędzy to stronnictwo się dobroiło. Druga z frakcji tego plemienia została pominięta. Postanowiła także się dobroić i teraz szykuje się do walki z pierwszą frakcją, kiedy tylko Amerykanie opuszczą te tereny. Ta pomoc nie przełożyła się na konkretne projekty, ale doprowadziła do tego, że prawdopodobnie w przyszłym roku w tym rejonie dojdzie do bardzo ostrej walki między dwiema grupami podplemiennymi, które do tej pory żyły pokojowo. Takich przykładów jest wiele.

– Jak więc należy planować pomoc?

P.B.: – Wszystkie projekty pomocowe powinny stawiać sobie dwa cele: uczyć odpowiedzialności i unikać rozdawnictwa. Pomoc musi zawsze łączyć się z pewnymi warunkami. Mogą to być warunki symboliczne, nakładane na grupę, która uzyskuje pomoc. W ten sposób uczymy, że pomoc nie jest za darmo i że kiedyś się skończy. Osiągamy w ten sposób ważny rezultat: uczymy społeczność odpowiedzialności za to, co robi i dbałości o to, co dostaje. Nawet jeśli mamy do czynienia z sytuacją skrajną – klęską głodu, rozdawnictwu żywności powinno towarzyszyć stawianie warunków: oczyszczenie terenu, czy pomoc w wybudowaniu drogi. Zależnie od lokalnych potrzeb. To mogą być bardzo proste prace społeczne. Ale one muszą być. Pomoc powinna także zakładać zaangażowanie stron, które potencjalnie mogą być ze sobą skonfliktowane. Jako stowarzyszenie tak właśnie działamy. Staramy się realizować nasze projekty na terenach problematycznych. Do naszych szkół często uczęszczają dzieci z różnych grup etnicznych. Wychodzimy z założenia, że jeżeli dzieci z dwóch potencjalnie zwaśnionych plemion wychowują się razem, uczą się razem i nawiązują między sobą przyjaźnię, to większe są szanse, że nie będą ze sobą później walczyć. Oczywiście nie ma takiej gwarancji.

– Czy mam rozumieć, że formy pomocy doraźnej nie mają racji bytu?

P.B.: – Dla pomocy doraźnej istnieje jedno usprawiedliwienie. Są to gwałtowne, niespodziewane klęski żywiołowe i klęski głodu, gdzie ludzie umierają tu i teraz. W takim wypadku nie można stawiać żadnych warunków. W pierwszej kolejności chodzi o utrzymanie przy życiu osób, które tego potrzebują. Jednak, gdy to pierwsze niebezpieczeństwo zostanie

zażegnane, zanim ludzie odbudują swoje domy, a rolnicy odnowią uprawy, pomoc musi trwać. Gdy natomiast bezpośrednio widmo głodu znika, to od tego momentu pomoc musi być uzależniona od spełnienia określonych warunków. Taka pomoc nie może już być bezwarunkowa. I tu właśnie pojawia się element edukacyjny. Ludziom należy wtedy tłumaczyć, czemu służą te warunki. Należy zawsze pokazywać mieszkańcom, że dany projekt jest ich, a my im tylko pomagamy i uczymy, bo mamy w tym doświadczenie. Tak więc nawet w wypadkach nagłych klęsk żywiołowych, ten komponent edukacyjny, nie doraźny jest naprawdę ważny. Gdybyśmy postawili pewne warunki, nie wyjaśniliśmy ich, to byłoby dla mieszkańców niezrozumiałe.

– Skąd bierze się ten bezrefleksyjny odruch niesienia płytkiej pomocy?

P.B.: – Są dwie przyczyny. Podstawową są cele polityczne. Wśród organizacji niosących pomoc są agendy rządowe albo organizacje powiązane z rządami przez umowy międzynarodowe. Ich działania nie wynikają z chęci poprawienia sytuacji w rejonie kryzysowym, ale z faktu, że rząd, który za tym stoi ma cele polityczne, a nie pomocowe. Przykład z Afganistanu. W okolicach rejonu Towr Kham Gate większość projektów nie jest realizowana w celu niesienia pomocy, ale po to, żeby wesprzeć działania militarne, zapewnić bezpieczeństwo konwojom itd. Dokładnie tak samo dzieje się z pomocą niesioną w prowincji Ghazni przez polski kontyngent wojskowy w ramach tzw. Prowincjonalnego Zespołu Odbudowy (PRT). Osoby, które takie projekty realizują, nie myślą długofalowo i nie zwalczają przyczyn konfliktu. Oni odpowiadają na pewne zapotrzebowanie polityczne. Drugi problem i druga przyczyna, leży w przeroście administracyjnym w dużych międzynarodowych organizacjach pomocowych. Bardzo często administracja zaczyna żyć własnym życiem i realizować swoje cele. Należy się wykazać przed przełożonymi, realizuje się własną karierę, a pomoc schodzi na drugi plan.

– Gdzie działa Stowarzyszenie?

P.B.: – Poza Afganistanem jest to głównie Pakistan. Realizujemy tam dwa projekty. Jeden w dolinie Czital na północy kraju. Projekt skierowany jest do Kalaszy, plemienia o niezwyklej historii, o tradycji sięgającej trzech tysięcy lat. Jest to jedyne niemuzułmańskie plemię w Pakistanie. I jest na wymarciu. Realizujemy dla nich projekt edukacyjny, którego podstawą jest centrum komputerowe. Na miejsce musieliśmy doprowadzić prąd, bo nie ma tam elektryczności. Do tej pory centrum działało w budynku zaadaptowanym. Obecnie kończymy budowę nowego, dużego centrum, które z końcem września powinno zostać oddane do użytku.

Drugi projekt przygotowujemy w dolinie Hunza, gdzie w styczniu miała miejsce powódź, w wyniku której doszło do osunięć ziemi. Na ogromnym obszarze wioski zostały zalane. Planowane tam przedsięwzięcie wciąż jest w fazie przygotowań, bo na razie brakuje nam funduszy na rozpoczęcie prac. Pakistan nie cieszy się niestety dobrą sławą. Z problemami, które my mamy z pozyskiwaniem pieniędzy na ten projekt, borykają się wszystkie działające tam organizacje. Nawet ONZ, która walczy ze skutkami wielkiej powodzi. Społeczność międzynarodowa nie zapewniła nawet minimum funduszy, które według wyliczeń ONZ są konieczne dla niesienia doraźnej pomocy po tej katastrofie. Świat nie chce płacić za pomoc Pakistanowi i jest to poważny błąd. Pakistanowi grozi bowiem destabilizacja i przejęcie władzy przez środowiska blisko związane z talibami. To państwo wymaga szybkiej i sprawnej pomocy. Niestety, świat ciągle tego nie rozumie.

Od kilku lat staramy się także realizować projekt w Chinach. Jest on przeznaczony dla tybetańskich koczowników. Projekt wciąż nie jest zakończony, co oczywiście wiąże się niedoborem pieniędzy. Budujemy tam szkołę, która jest już częściowo wykończona. Administracja chińska najpierw dziwiła się, dlaczego chcemy pomagać jakimś koczownikom na terenie Chińskiej Republiki Ludowej, ale wszystko wyjaśniliśmy. Odwołaliśmy się do celów milenijnych i celów polskiej pomocy zagranicznej. Najwyraźniej zadowolili to Chińczyków, bo uzyskaliśmy pozwolenie na budowę. Jest to ewenement, bo Chiny takich pozwoleń organizacjom zagranicznym po prostu nie wydają.

Na przyszły rok zaplanowaliśmy rozpoczęcie kolejnego projektu, tym razem w Burkina Faso. Będziemy tam budować centrum edukacyjne dla dzieci, a w szczególności dziewcząt, które chcemy uchronić przed trafieniem na ulicę. W centrum będą mogły nauczyć się zawodu i dostaną schronienie.

– Ilu członków Stowarzyszenia działa w terenie?

P.B.: – Kilka osób. Działanie w terenie to przede wszystkim wyjazdy. Żeby pojechać do Pakistanu lub Afganistanu, trzeba mieć doświadczenie. Zarówno w zakresie lokalnej kultury, jak i doświadczenie logistyczno-techniczne. W ciągu roku średnio 5-6 osób wyjeżdża. Nasze stowarzyszenie jest małutkie. Liczy około 20 osób. To jak na razie wystarcza. Istotne jest to, że zawsze ściśle współpracujemy ze społecznościami lokalnymi. Fizycznie to właśnie społeczności lokalne realizują nasze projekty. My tam jesteśmy tylko po to, żeby doradzić, pomóc rozwiązać problemy z administracją lokalną lub korupcją. Czasami zdarza się, że lokalna administracja, chcąc wymusić łapówkę, odbiera pozwolenie na budowę. Dla społeczności może to być duży problem. Nam, jako osobom z zewnątrz, często łatwiej jest doprowadzić do zmiany takiej decyzji. Nie jesteśmy uwikłani w żadne lokalne zależności. Nie grozi nam, że za dwa lata będziemy mieli ogromne problemy z załatwieniem zupełnie innej rzeczy, bo kiedyś weszliśmy w konflikt z władzą. Członkowie stowarzyszenia czuwają także nad logistyką całego projektu, kontrolują budżet, jakość materiałów. Z założenia jednak projekty realizowane są przez społeczność lokalną. Zawsze im mówimy, że to nie jest nasz projekt, że my tylko asystujemy.

– W jaki sposób Edukacja dla Pokoju zdobywa fundusze na swoją działalność?

P.B.: – Spora część naszych środków pochodzi z dotacji MSZ. Reszta – od osób prywatnych. Jeden z dużych projektów – szkoła dla 1600 dziewcząt w Afganistanie – został zrealizowany z pieniędzy zagranicznych. Na marginesie powiem, że na ten cel MSZ odmówiło nam pieniędzy, uznając, że projekt jest bez wartości, a szkoła nie powstanie w czasie krótszym niż dwa lata. Budynek jest dwupiętrowy i powstał w osiem miesięcy. W Afganistanie zdarzało się też, że kontaktowały się z nami osoby związane z wojskiem. Nie było to polskie wojsko. Proponowano nam środki na realizację projektów w bardzo konkretnych miejscach. Zazwyczaj takich propozycji nie przyjmujemy.

– Jak zatem można wesprzeć naszą misję?

P.B.: – Najbardziej pożądaną formą pomocy są gotówkowe wpłaty na konto. Darczyńca sam może wybrać projekt, na

który przeznaczone mają zostać jego pieniądze. Dlaczego gotówka jest najlepsza? Często pieniądze łatwiej jest wykorzystać poza Europą. Nie wiąże się to z problemami logistycznymi, jak w przypadku towarów. Poza tym w Azji często towary są o wiele tańsze niż w Europie. Za te same pieniądze możemy kupić więcej. Dodatkowo, kupując na miejscu, nie ponosimy kosztów transportu, a do tego korzystnie wpływamy na lokalny rynek, tworząc popyt.

Przyjmujemy także pomoce edukacyjne, np. komputery, angielskojęzyczne podręczniki, mapy, globusy. Mamy możliwość przewiezienia tego do Pakistanu, czy Afganistanu. Taka oferta skierowana jest oczywiście głównie do firm, którym zdarza się wymieniać dużą liczbę zestawów komputerowych na nowsze. Od razu podkreślę, że nie wysyłamy do biednych krajów starego, zdezelowanego sprzętu technicznego. Sprzęt, na który czekamy, musi być w pełni sprawny i stosunkowo nowy, żeby służył tym, do których trafi.

– Na swojej stronie piszecie m.in.: „Jesteśmy przekonani, że żadnych wartości nie można wprowadzać siłą. W związku z tym nie mówimy, co dobre, a co złe”. Czy budowanie szkół dla Afganek, w państwie, w którym konserwatywna część społeczeństwa uznaje edukowanie kobiet za bluźnierstwo w oczach Boga, nie jest czytelnym komunikatem, że uważacie ich światopogląd za błędny, zły?

P.B.: – Wszystko, co robimy w życiu może się okazać dla kogoś czymś niewłaściwym. Nie ma rzeczy neutralnych. Jednak budowa szkół w Afganistanie, wbrew obiegowej opinii, jest bardzo dobrze przyjmowana przez mieszkańców kraju. Statystyki pokazują, że niemal 80% mieszkańców Afganistanu zakłada, że edukacja dla dziewcząt nie jest niczym złym. Oczywiście jest grupa osób, które będą się temu przeciwstawiały za wszelką cenę, ale jest to raczej margines. Odsetek osób, które czynnie przeciwstawiałyby się edukacji dziewcząt nie przekracza 10%. Tak więc, kształcąc Afganki, nie robimy niczego wbrew woli większości mieszkańców tego kraju.

– Mam wrażenie, że za tak złą opinię o Afganistanie odpowiadają media...

P.B.: – Zgadza się. Wszelkie przypadki niszczenia szkół są przez media nagłaśniane i prezentowane jako afgański „standard”. Prawda jest taka, że Afgańczycy uważają edukację za coś bardzo ważnego. Masowo posyłają dzieci do szkół. Tak masowo, że szkół i nauczycieli wciąż brakuje. Do szkół wstępują też dorośli ludzie, żeby w końcu nauczyć się czytać i pisać. W kilku oddalonych od miast wioskach opłacamy nauczycieli, którzy regularnie prowadzą tam kursy czytania i pisania. Większość z uczęszczających na te zajęcia stanowią kobiety. Mają one ogromną potrzebę uczenia się. To, że kobiety chodzą na te kursy, a ich mężowie się na to godzą, pokazuje że jest na to przyzwolenie.

– Czy to prawda, że Edukacja dla Pokoju to jedyna polska organizacja pozarządowa, która prowadzi stacjonarne działania w tym kraju?

P.B.: – W tym momencie tak. Jesteśmy ponadto organizacją, która zrealizowała największą ilość projektów inwestycyjnych.

– A ile jest tam amerykańskich organizacji?

P.B.: – Trudno mi podać liczbę, ale jest ich kilkadziesiąt. Łącznie organizacje pozarządowych działających w Afganistanie jest kilkaset. Działa tam parasol organizacyjny, pod szyldem ACBAR, który zrzesza ponad 200 organizacji. Dochodzą do tego organizacje luźno stowarzyszone. Łącznie około 400.

– Dlaczego spośród polskich organizacji tylko Wy pozostaliście w Afganistanie?

P.B.: – Wynika to z dwóch przyczyn. Pierwsza, to trudności w funkcjonowaniu na miejscu. Druga, to trudności w pozyskiwaniu środków. Polacy, jako społeczeństwo nadal żyją w przekonaniu, że są biedni i to im należy się pomoc. Jest to zupełnie fałszywe przekonanie. Pokłócie czasów PRL-u, kiedy Polska rzeczywiście była biednym krajem. Teraz już nie jest. Nasz kraj jest jednym z 30 najbogatszych krajów świata! Niestety, to nie przeniknęło do świadomości Polaków. To myślenie sprawia, że nasi rodacy bardzo niechętnie rozstają się ze swymi pieniędzmi. Niechętnie działają na rzecz poprawy sytuacji na świecie. Jest to problem mentalnościowy. Osadzony bardzo głęboko. Z tego powodu organizacje chcące działać poza Europą, będą napotykały na poważne bariery finansowe.

– Jak układa się współpraca w polskimi wojskowymi?

P.B.: – Nie mamy żadnych kontaktów. Nasza zasada działania jest następująca: przemieszczamy się, żyjemy, funkcjonujemy w Afganistanie tak, jak robią to Afgańczycy. Jeździmy zwykłymi, nie rzucającymi się w oczy samochodami. Mieszkamy tak, jak oni. Czasami zdarza się spać na klepisku, czasami na materacu. Nikt z nas nigdy nie założyłby kamizelki kuloodpornej lub przemieszczał się w uzbrojonej obstawie. Gdybyśmy to zrobili chociaż jeden raz, stracilibyśmy wiarygodność w oczach naszych partnerów i beneficjentów. Od tego momentu bylibyśmy uznawani za przedłużenie obcych sił zbrojnych. To byłaby klęska naszych projektów. Zawsze bardzo podkreślamy, że pomoc rozwojowa i pomoc humanitarna muszą być realizowane wyłącznie przez struktury cywilne, w absolutnym oderwaniu od operacji wojskowych. Wojsko nie jest właściwą organizacją do realizowania tego typu projektów. Ale wojskowi tego nie rozumieją. I nie dziwi mnie to. Żaden z nich nigdy nie przejechał przez Afganistan bez kamizelki kuloodpornej, bez munduru i bez broni. I nigdy nie rozmawiał z Afgańczykiem jak równy z równym. Rozmowa z człowiekiem, gdy trzyma się broń, jest się ubranym w kamizelkę kuloodporną i ma się uzbrojoną obstawę, nie jest partnerska. Informacje, które posiadają wojskowi nigdy nie będą obiektywne. Tak jak my działają wszystkie organizacje zrzeszone i stowarzyszone z ACBAR. Mamy wyraźnie określone zasady. Pomoc rozwojowa nie może się odbywać we współpracy z wojskiem i nie może służyć doraźnym celom militarnym.

Piotr Balcerowicz – kulturoznawca, orientalista, filozof. Wykłada na Uniwersytecie Warszawskim i w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Członek Komitetu Nauk Orientalistycznych PAN. Prowadził wykłady na uniwersytetach zagranicznych m.in. w Niemczech, USA, Szwajcarii, Austrii, Włoszech, Wielkiej Brytanii i Japonii. Autor książek i publikacji naukowych. Prezes Stowarzyszenia Edukacja dla Pokoju.

źródło: inf. własna (ngo.pl)